

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

Miecz Zdrady

Andrzej Sokół na tropie skarbów
Fabiana von Schönaicha,
właściciela Bytomia Odrzańskiego
i okolicznych ziem



MANUFATURA
TEKSTÓW

KRZYSZTOF KOZIÓŁEK

Miecz Zdrady



[Kup książkę](#)

Redakcja i korekta
Daniel Lesiewicz

Projekt okładki
Kamil Pietruczynek
www.kamilpietruczynek.pl

Skład i łamanie
Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziółek 2010
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2012

www.manufakturektow.pl

Oficjalna strona internetowa autora
www.krzysztofkoziolok.pl

Wydanie szóste
Nowa Sól 2016

ISBN 978-83-945878-5-7

Druk i oprawa
TOTEM - Inowrocław

[Kup książkę](#)

*Dedykuję
Rodzicom*

[Kup książkę](#)

*Nie zależy mi na zdaniu tych,
na zdaniu których mi nie zależy*

PROLOG

Poniedziałek

Nie trzeba było być lekarzem ani choćby ledwie studentem pierwszego roku medycyny, ba, nawet nie trzeba było być namiętym fanem serialu „Ostry dyżur”, by już na pierwszy rzut oka móc stwierdzić z całą pewnością, że mężczyzna nie żyje. Potężny miecz wbity do połowy czaszki był nad wyraz jednoznacznym dowodem takiego stanu rzeczy. Gdyby jednak komuś to nie wystarczyło do stwierdzenia zgonu, to w zupełności powinna go do tego skłonić struga gęstej krwi ciągnącej się od głowy, przez szyję i plecy, aż do podłogi.

- Coś mało tej krwi - pomyślał Andrzej Sokół, wpatrując się w malutką, czerwoną kałużę, zmieniając się w jednej chwili ze zszokowanego świadka zbrodni w ciekawskiego dziennikarza. - Przy tak głębokiej ranie powinno być jej chyba więcej? Chyba... W końcu nie jestem ani lekarzem, ani studentem pierwszego roku medycyny, ani namiętym fanem „Ostrego dyżuru” - machinalnie uśmiechnął się pod nosem.

Stał tak, wpatrując się w ciało jak zahipnotyzowany, gdy nagle po lewej stronie poczuł ruch. Nie zdążył się obrócić, spadła na niego futrzasta postać, instynktownie osłonił się ramieniem, co uratowało go przed uderzeniem w twarz. Zrzucił puszysty kłębek na podłogę, dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że to kot.

Zwierzę fuknęło, podniosło ogon ruchem pełnym kociej dostojności i oddaliło się niespiesznie, jakby zupełnie nieświadome tragedii, która niedawno się tutaj rozegrała.

Odprawiając zwierzę wzrokiem, Sokół odetchnął i sięgnął do kieszeni po prywatną komórkę, by zadzwonić na policję.

- Nie ruszaj się, bo strzelę - usłyszał za plecami ostry męski głos.

- Powolutku wyciągnij dłoń z kieszeni i podnieś obie ręczki do góry - to był już ktoś inny. - Mam słabe nerwy, więc lepiej nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów.

ROZDZIAŁ 1

Paradoksalnie, kiedy okazało się, że właścicielami głosu są policjanci, Sokół poczuł ulgę. Był pewien, że nieporozumienie uda się szybko wyjaśnić, jednak pomny doświadczeń z organami ścigania i wymiarem sprawiedliwości, ograniczył się tylko do wypowiedzenia słów: „Niczego złego nie zrobiłem”, a następnie zamilkł. Wiedział, że w tym momencie jakiegokolwiek tłumaczenia nie mają większego sensu.

Podczas gdy jeden z policjantów trzymał go na muszce, drugi zakuł w kajdanki, pouczył o przysługujących mu prawach, sprawnie przeszukał, zabierając oba telefony, prywatny i służbowy, po czym wyprowadził z domu i wsadził do radiowozu. Kiedy ruszyli, Sokół dostrzegł, jak prywatna komórka, rzucona na deskę rozdzielczą, wibruje.

- Mogę odebrać? - zapytał Sokół z głupia frant.

- Nie, mistrzu, nie możesz - odparł kierowca, śmiejąc się pod nosem.

- Z panią Patrycją porozmawiasz sobie w innym czasie - dodał drugi policjant, zerknąwszy na ekran telefonu.

Sokół zaklął pod nosem, na tyle jednak cicho, że mundurowi nie dosłyszeli.

*

Patrycja Pawłowska czwarty raz w ciągu pół godziny wybrała numer Sokoła, ale ten wciąż nie odbierał. Była już tym mocno podenerwowana, bo do tej pory nie zdarzyło się ni-

gdy, by tak długo ignorował jej próby skontaktowania się. Gdy nie mógł rozmawiać, to albo odbierał i rzucał krótkie: „Oddzwonię”, albo odrzucał połączenie, co oznaczało to samo, tylko przekazane w mniej serdeczny sposób.

Nagłym ruchem odsunęła aparat od ucha, gdy ten wydał piskliwy odgłos oznaczający koniec kolejnej próby nawiązania połączenia. Jeszcze raz spojrzała na wyświetlacz. Zdenerwowanie ustąpiło miejsca złości. I nawet nie chodziło o to, że po wczorajszej kolacji w Palmiarni, odwołanej w ostatniej chwili, obiecał nadrobić zaległości dzisiaj i pójść z nią na spacer do portu. Randka nie zajac, nie ucieknie, jeśli nie pospacerują dziś, zrobią to w innym terminie. Chodziło o to, że potrzebowała jego pomocy tu i teraz, a nie za godzinę czy dwie.

Podeszła do biurka, wzięła do ręki najnowsze wydanie „Tygodnika Nowosolskiego”, zerknęła na pierwszą stronę, na której wymowny tytuł aż bił po oczach. Artykuł „Nowosolscy kaci opozycji” mówił o wystawie, którą w Muzeum Miejskim zorganizował poznański oddział Instytutu Pamięci Narodowej. Przekaz był lakoniczny, ale mocny. Na kilkunastu wielkich tablicach zamieszczono biogramy pracowników bezpieczeństwa z czasów PRL-u, przede wszystkim z Zielonej Góry, ale było też kilku esbeków z innych miast, w tym dwóch z Nowej Soli. Obok danych personalnych i dużego zdjęcia podano także ścieżkę kariery byłych funkcjonariuszy, opublikowano też kilka dokumentów świadczących o ich poświęceniu i zawziętości we wprowadzaniu socjalizmu i walce z wrogami ustroju. Biogramy nowosolan tygodnik zamieścił na rozkładówce, przytaczając każdą, nawet najmniejszą informację z wystawy. Całość materiału skomentował jeden z najbardziej znanych nowosolskich działaczy niepodległościowych, Stefan Jędrzysek. Zrobił to krótkim zdaniem: „To nie byli ludzie, to były kanalie”.

- Kanalie - westchnęła głęboko, wpatrując się w zdjęcie Stanisława Mruka.

*

Mijała już godzina, odkąd policjanci zostawili Sokoła w pokoju przesłuchań, więc zaczynał się niecierpliwić. Dla spokoju ducha postanowił w myślach odtworzyć bieg wydarzeń ostatnich kilku godzin na wypadek wzięcia go w krzyżowy ogień pytań.

Kiedy w Nowej Soli, na ulicy Grottgera wsiadał do swojej warszawy M224, nic nie zapowiadało dnia obfitującego aż w takie atrakcje. Po drodze zajechał pod Arenę Solanina, gdzie zarezerwował jeden tor do kręgli na wieczorne spotkanie ze znajomymi, które planowali tuż po kąpieli w miejskim basenie. Gdy wyszedł z budynku, wokół auta zgromadził się już tłumek gapiów, mile polectany zainteresowaniem odpowiadał na standardowe w takich przypadkach pytania. Warszawa była z rocznika 1969, koloru zielonego nr 51, zarówno kołpaki, jak i zderzaki oraz klamki były wykonane z metalu i do tego niklowane. Jak zwykle odpowiedzi na pytanie, ile pali na 100 km, towarzyszył głośny jęk. Ale reakcja nie mogła być przecież inna, skoro silnik warszawy pojemności 2120 cm sześć. pił jak smok: 12 litrów na każdą setkę, kiedyś benzyny ołowiowej, teraz już bezołowiowej, ale za to ze specjalnym dodatkiem uszczelniającym zawory.

Pół godziny później skręcał już w Zielonej Górze z ulicy Liliowej w Daliową. Z politowaniem spojrzał na nawierzchnię. Naszła go gorzka refleksja. Mimo że minęło już 25 lat od rozpoczęcia budowy Osiedla Kwiatowego na Jędrzychowie, akurat ta droga i chodnik wołały o pomstę do nieba. Banał, że dziura goniła dziurę, był banałem, ale w przypadku Daliowej nie oddawał faktycznego stanu rzeczy. Nawierzchnia tej ulicy była jedną wielką wyrwą. Ale przecież tutaj nie wprowadził się nikt znaczący, tak jak na jednej z sąsiednich ulic, gdzie

przed laty, tydzień po przeprowadzce ówczesnego wiceprezydenta miasta zaczęto budować drogę i stawiać latarnie...

Ze względu na wyboje jechał wolno i, tak jak się spodziewał, dom Stayera zauważył od razu. Zresztą, rezydencję - bo nazywanie jej zwykłym domem byłoby sporym nietaktem - trudno było przegapić. Budynek mieszkalny zajmował niemal całą szerokość działki, aż cisnęło się na usta pytanie, jakim cudem właściciel obszedł prawo budowlane nakazujące pozostawienie wolnej przestrzeni między zabudową a ogrodzeniem? Owszem, zawsze można się było dogadać z sąsiedziami, ale kto chciałby mieć coś takiego pod samym nosem? Zatrzymał auto i wysiadł.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, a uwagę Sokoła przykuły wieżyczki owego domu, wróć, rezydencji. Może i projektantowi przyświecała jakaś idea, może i słuszna, ale na pewno nie w takim otoczeniu. Rozejrzał się dookoła, wszędzie widać było mniej lub bardziej kwadratowe klocki, te mniej - były nowsze, te bardziej - to pozostałość po latach świetności komunizmu, który i w budownictwie jednorodzinnym odcisnął niepowtarzalne piętno.

Podszedł do furki otwieranej elektrozamkiem, nie była zamknięta. Widać gospodarz, spodziewając się gościa, zostawił ją otwartą. Sokół spojrzał na zegarek, do południa brakowało minuty.

- Jestem punktualnie - ucieszył się, pchnąwszy furtkę. Kiedy stanął przed drzwiami domu, wróć, rezydencji, wiedział już, że coś jest nie tak. Były uchylone. - Za dużo amerykańskich filmów się naoglądałem - westchnął. Nie namysławiając się wiele, trącił je delikatnie, otworzyły się bezgłośnie.

Wszedł do środka, od razu kierując się do celu. Pomieszczeń w tym budynku było całe mnóstwo i to na kilku piętrach i półpiętrach, ale ich rozkład - przynajmniej tych wiodących do głównego salonu - znał doskonale, dzięki temu, że był tu

kilka razy podczas kolędy, jeszcze jako ministrant. Co prawda było to dobrych kilkanaście lat temu, kiedy właścicielem willi był ktoś inny, ale pamięć w tym względzie miał świetną.

- Przerwałem medytację? - policjant, do którego należał głos, musiał wejść niemal bezszelestnie, bo Sokół nie wyczuł wcześniej jego obecności.

- Medytację nie, tylko puste godziny przebiegu - odciął się błyskawicznie. - Trzymacie mnie tutaj już osiemdziesiąt minut bez przedstawienia jakichkolwiek zarzutów.

- A jakie zarzuty powinniśmy, pana zdaniem, przedstawić?

- Sobie, marnowanie mojego cennego czasu. Mnie, żadne.

- Jaki bezczelny - zaśmiał się, siadając na brzegu stołu.

- Bezprawne wtargnięcie na teren prywatnej posesji, to raz. Dwa, morderstwo z premedytacją - patrzył Sokołowi prosto w oczy.

- To wszystko? - wytrzymał spojrzenie. - Kiepsko z wami... Nie ma mowy o żadnym wtargnięciu, o morderstwie nie wspominając. Byłem umówiony z panem Stayerem na dwunastą. Furtka była otwarta, drzwi wejściowe też, pomyślałem, że właściciel jest zajęty czymś ważnym i dlatego zostawił mi wolną drogę dostępu do domu. Wszedłem, zobaczyłem to, co zobaczyłem i właśnie sięgałem do kieszeni po telefon komórkowy, by wezwać policję, gdy funkcjonariusze się zjawili. Tyle.

- Jaka piękna historyjka - uśmiechnął się pobłaźliwie, niczym nauczyciel do ucznia, który usprawiedliwia swoje spóźnienie wybuchem gazu w mieszkaniu. - A przypadkiem pan o czymś nie zapomniał?

- Przypadkiem o czym?

- O tym, że gdy pan mordował pana Stayera zabytkowym mieczem rycerskim, to jego dzielny kot stanął w obronie

swojego właściciela i pana podrapał - wskazał na czerwoną szramę na szyi Sokoła. - Na pańskim płaszczu znaleźliśmy kocie kłaki. Jestem pewien, że gdy przeprowadzimy badania, potwierdzi się, że to sierść właśnie tego zwierzęcia.

- Brawo - Sokół zaklaskał trzy razy. - Badania przeprowadzicie sami, czy dla pewności zlecicie to laboratorium CSI w Miami? Niewątpliwie rudzielec Horacy ma taki sprzęt, że byłby w stanie określić linię tego kota do tygrysa szablozębnego włącznie.

- Jest pan strasznie irytujący - syknął.

- To jest nas dwóch - Sokół wstał, nie pytając o pozwolenie.

- Pan mnie wytrącił z równowagi, to ja, dla równowagi, wytrąciłem z równowagi pana - dodał wyjaśniająco. - Obaj dobrze wiemy, że nie miałem nic wspólnego z tym zabójstwem, może tylko tyle, że znalazłem się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie - usiadł z powrotem na krześle i spojrział przeciągle na funkcjonariusza.

ROZDZIAŁ 2

Patrycja zrezygnowana przestała dzwonić do Sokoła, wysłała tylko SMS-a z prośbą o kontakt. Następnie wybrała numer do mamy.

- Cześć, mamó - zaczęła. - Pewnie wiesz, w jakiej sprawie dzwonię...

- Domyślam się - odparła. - Jestem w pracy i nie mogę teraz na ten temat rozmawiać.

- Nie możesz wyjść na chwilę do ubikacji?

- Po co? - spytała wyraźnie zdenerwowana.

- Bo chciałabym wiedzieć, dlaczego przez dwadzieścia pięć lat nawet słowem się nie zająknęłaś na temat tego, że twój rodzony brat jest esbikiem? I to w dodatku takim,

który prześladował ludzi - wycodziła zła na wujka, mamę i cały świat.

- Dziecko... To nie jest rozmowa na telefon. Porozmawiamy, jak wrócę do domu.

- Już to widzę - prychnęła. - Wiesz, mamó, co jest w tym wszystkim najgorsze, pomijając fakt, że razem z tatą ukrywaliście to przede mną?

- Taty do tego nie mieszaj - westchnęła. - Kiedyś, gdy jeszcze byłaś mała, wymusiłam na nim obietnicę, że nigdy ci nie zdradzi, kim był wujek Staszek.

- Wujek Staszek... Jak to ładnie brzmi - ironizowała. - Przerwałaś mi, nie dokończyłam... Wiesz, co jest w tym najgorsze?

- Co, skarbie?

- Że ja go tak bardzo lubiłam.

*

- Chce mi pan powiedzieć, że zupełnie przypadkiem wszedł do mieszkania akurat tuż po tym, jak doszło w nim do brutalnego morderstwa? - rzucił policjant kpiąco.

- A pan chce mi powiedzieć, że zupełnie przypadkiem policjanci zjawili się akurat wtedy, kiedy ja tam byłem? - Sokół odciął się błyskawicznie. - Już mówiłem: byłem umówiony, furtka i drzwi były otwarte, to wszedłem. Gdybym się spodziewał, że mój rozmówca siedzi przy biurku z mieczem wbitym w głowę, to nie pakowałbym się do środka, tylko od razu zadzwonił po pańskich kolegów.

- W jakiej sprawie był pan umówiony ze Stayerem?

- Pan wybaczy - uśmiechnął się niewyraźnie.

- Nie mam czego wybaczać - warknął. - Czekam na odpowiedź.

- Powinien pan wiedzieć, że obowiązuje mnie tajemnica dziennikarska.

- Facet nie żyje i nic już pana nie obowiązuje.

- To dla mnie zaszczyt - wypalił nagle Sokół.
- Że co? - policjant zmarszczył brwi.
- Spotkać w pańskiej osobie tak wybitnego specjalistę od prawa prasowego. Miło wiedzieć, że rozmawiam z kimś, kto w ułamku sekundy potrafi odpowiedzieć na pytanie, czy tajemnica dziennikarska przestaje działać po śmierci rozmówcy - wyjaśnił głosem tak spokojnym, że aż irytującym. - Można wiedzieć, gdzie pan profesor wykłada? Jeśli to Poznań lub Wrocław, to chętnie wpadnę na zajęcia. Na pewno dowiedziałbym się wielu interesujących rzeczy.

Policjanta o mało nie zalała krew.

*

- Odwołaj go, bo zacznie się rzeźnia - komisarz Miłosz Kleemann z Wydziału Kryminalnego Komendy Miejskiej Policji w Zielonej Górze wydał polecenie głosem nieznoszącym sprzeciwu. Razem z drugim funkcjonariuszem, Ryszardem Grodzkim, od początku przysłuchiwali się rozmowie z Sokółem, oddzieleni grubą i dźwiękoszczelną szybą.

Grodzki nacisnął guzik interkomu i wydał krótkie polecenie. Policjant przesłuchujący Sokola burknął coś pod nosem, po czym wyszedł, chwilę później stał już obok Kleemanna.

*

Po rozmowie z mamą Patrycja była w jeszcze gorszym nastroju niż przed chwilą. A do tego Andrzej wciąż nie oddzwaniał. Westchnęła głęboko, postanowiła zaparzyć herbatę, to powinno pomóc się uspokoić. Gdy czajnik zagwizdał, zalała wrzątkiem liście, przykryła filiżankę spodkiem. Po dwóch minutach napój był gotowy, musiał jeszcze tylko ostygnąć.

Usiadła na parapecie, wpatrując się w kolorową koronę rosnącego za oknem klonu. Zaczęła sobie przypominać, jak poznała Andrzeja. Już po pierwszym spotkaniu, kiedy odwiedził ją i mamę tuż po tragicznej śmierci Magdy, poczuła coś, czego początkowo nie potrafiła nazwać. Gdy potem

wplątał się w tą tragiczną w skutkach sprawę z rosyjską mafią, drżała o jego życie. Na szczęście, po kilku dniach ucieczki przez połowę kraju, wrócił cały i zdrowy.

Uśmiechnęła się na myśl, że, kiedy już przyjechał wtedy do Nowej Soli w glorii bohatera, nie miała odwagi do niego zadzwonić. Ale on miał i zadzwonił. Od tamtego czasu minęło już ile? Pięć miesięcy? Jak ten czas leci...

Nagle poczuła ukłucie gdzieś w okolicach serca, uświadomiła sobie, jak bardzo jej na nim zależy. Na tej jego opiece i rodzącej się miłości, którą wyczuwała pod otaczającą go maską obojętności. To w głównej mierze dzięki niemu jako tako radziła sobie z odejściem siostry, także jej mama zaprzętała sobie myśli czymś innym, nie tylko śmiercią Magdy.

Teraz potrzebowała jego obecności i pomocy bardziej niż kiedykolwiek dotąd. A jego nie było!

*

- To jest nagranie z monitoringu w willi zrobione na długo przed pobytem dziennikarza i wejściem naszych - Kleemann pokazał koledze właściwy kadr. - To nie Sokół. Na bank.

- Widzę - policjant pokiwał głową. - A odciski?

- Zgadza się tylko te z furtki i klamki w drzwiach wejściowych, z narzędzia zbrodni już nie - odpowiedział Grodzki. - Przy przeszukaniu u Sokoła nie znaleziono rękawiczek, więc to nie on użył miecza.

- W takim razie wychodzi na to, że u naszego umarlaka był ktoś jeszcze - stwierdził policjant, pukając palcem w ekran monitora.

- Spróbuj raz jeszcze wypytać o cel spotkania - perorował Kleemann. - Ale jeżeli facet znów odpowie, że obowiązuje go tajemnica dziennikarska, to go nie naciskaj, bo nie chcę zacząć jutrzejszego dnia od lektury „Nowego Głosu Lubuskiego”, w którym na pierwszej stronie, tuż pod tekstem o zamor-

dowaniu Stayera, znajdzie się kąśliwy kawałek o brutalnych działaniach zielonogórskiej policji. Jasne?

- Jasne - przytaknął.

Chwilę później siedział już naprzeciwko Sokół. Raz jeszcze, tym razem o wiele bardziej uprzejmym tonem, spytał o cel spotkania u Stayera. Kiedy Sokół, równie uprzejmie co policjant, odmówił odpowiedzi, zmienił temat.

- To inaczej: co może pan powiedzieć?

- Jedynie to, że Stayer poprosił mnie o spotkanie - odrzekł Sokół.

- Domyśla się pan, dlaczego poprosił o rozmowę właśnie z panem? W redakcji w Zielonej Górze pracuje kilkunastu pańskich kolegów, a Stayer chciał się spotkać z dziennikarzem z Nowej Soli? Kaprys?

- Pojęcia nie mam - odparł, zresztą zgodnie z prawdą.

- I już się pewnie nie dowiemy - tym razem skłamał, mając nadzieję, że on sam do tego dojdzie i to wkrótce.

W głowie wciąż brzmiały mu słowa Stayera z porannej rozmowy telefonicznej: „Mam dla pana taki temat, że gdyby w Polsce dawali Pulitzera, to już miałby go pan w kieszeni! A przy okazji zgarnie pan jeszcze nagrodę za archeologiczne odkrycie roku!”

Na pytanie o szczegóły Stayer nie odpowiedział, zaśmiał się tylko, mówiąc, że wszystkiego dowie się na miejscu.

Tak, dowiedział się. Akurat.

*

Natychmiast po wyjściu z komendy Sokół zerknął na odebraną w dyżurce komórkę i sprawdził nieodebrane połączenia. Patrycja dzwoniła szesnaście razy. Westchnął głęboko, wybierając numer.

*

Od razu, gdy tylko dziennikarz opuścił pokój przesłuchań, Kleemann razem z Grodzkim udali się do gabinetu

komendanta miejskiego policji Grzegorza Przybyszewskiego. Ten czekał na nich niecierpliwie. Gdy weszli, bez słowa wskazał ręką dwa fotele.

- To nie on - rzekł Kleemann, siadając.

- Rysiu mnie już wcześniej uprzedził, że to może być fałszywy trop - stwierdził Przybyszewski, patrząc na drugiego funkcjonariusza. - Jesteś pewien? - przeniósł wzrok na komisarza.

- To nie on - powtórzył Kleemann spokojnie.

- Skąd ta pewność? - naciskał komendant. - Przecież przydybaliście gościa na miejscu zdarzenia!

- Nigdzie w mieszkaniu ani na narzędziu zbrodni nie ma śladów jego linii papilarnych, są tylko na drzwiach wejściowych i furtce - tłumaczył. - To potwierdza jego wersję, że był umówiony ze Stayerem i widząc otwarte drzwi wszedł do środka.

- To się trzyma kupy - przyznał Przybyszewski niechętnie.

- Czyli pismak to fałszywy trop.

- Jeszcze bym o tym nie przesądzał - zaprzeczył Kleemann.

- Wciąż pozostaje w kręgu naszych zainteresowań, na razie chcę go mieć na oku. Dlatego dostał ogon.

- Co macie na chwilę obecną? - zmienił temat.

- Michał Stayer, kolekcjoner antyków, właściciel willi przy ulicy Daliowej na Osiedlu Kwiatowym na Jędrzychowie - otworzył notes i zaczął czytać. - Posiadłość kupił przed sześcioma laty, według naszych informacji mógł za nią dać jakieś dwa miliony złotych...

- Sporo - wtrącił.

- Nie dla niego - odrzekł. - Wartość majątku Stayera szacowana jest na siedem do dziesięciu milionów. Facet jest... Był posiadaczem sporej kolekcji antyków. Większość z nich umieścił w bankach, niektóre eksponaty wypożyczył muzeom w całej Europie, kilka egzemplarzy podobno trzymał w sejfie w willi.

- Oczywiście nic nie zginęło?

- Tego jeszcze nie wiemy, czekamy na specja, który spróbuje otworzyć to cacko. Tak na oko waży ze dwie tony, wstępne oględziny nie potwierdziły próby włamania, ale z drugiej strony mogło być tak, że ten, kto Stayera stuknął, najpierw wyciągnął od niego kod, zabrał parę fantów i zamknął za sobą drzwi...

- Sejfu, bo wejściowe zostawił otwarte - doprecyzował Grodzki.

Kleemann i Przybyszewski otaksowali go zimnym spojrzeniem.

- Stayer to kolekcjoner antyków i zabytków, kupował i sprzedawał wszystko, co miało jakąkolwiek wartość - mówił dalej Kleemann. - Dla jasności, cena fantów, które stanowiły dla niego wartość i którymi był łaskaw zaprzętać sobie głowę, zaczynała się od kilku tysięcy euro.

- Czyli zwyczajny handlarz? - Przybyszewski podrapał się po głowie.

- Tak - odpowiedział Grodzki. - To nie był żaden miłośnik staroci, tylko diler. Faceta podejrzewano o kontakty z międzynarodową szajką przemytników antyków, interesował się nim Interpol i Centralne Biuro Śledcze, ale jak do tej pory nie udało się mu niczego udowodnić.

- I już się pewnie nie uda - westchnął komendant. - A ten miecz?

- Czegoś takiego jeszcze nie widziałem - Kleemann poikiwał z niedowierzaniem głową. - Nie jestem płatnerzem, ale nawet na mnie, laiku w tych sprawach, ten okaz zrobił nie lada wrażenie. Jest potężny, chyba dwuręczny, misternie grawerowany i wygląda, jakby został wykuty bardzo dawno temu, choć pojęcia nie mam, czy to czasem nie jakaś współczesna podróbka.

- I tym mieczem ktoś facetowi rozłupał głowę - zamyslił się Przybyszewski. - Musiał temu komuś niezłe zależeć za skórę.

- To był znajomy, szefie - Grodzki uznał, że to dobry moment, by na powrót włączyć się do rozmowy. - Można tak wnioskować, bo nie ma śladów włamania ani walki, nie licząc stłuczonej doniczki - mówił dalej, widząc aprobujące spojrzenie komendanta. - Według nas było tak: Stayer otworzył drzwi komuś znajomemu, niczego nie podejrzewając. Weszli do środka, rozmawiali, Stayer siedział przy biurku, podczas gdy ten ktoś albo chodził po salonie, albo też poszedł na przykład do toalety a gdy wrócił, chwycił za miecz i...

- Ułomek to nie był, bo jak mówiłem, to najpewniej miecz dwuręczny i sporo waży - dodał Kleemann.

- Stayer miał elektroniczny notes, taki drogi gadżet - Grodzki podał komendantowi zdjęcie urządzenia. - Sprawdziliśmy, nie ma w nim żadnej wzmianki na temat zaplanowanych spotkań biznesowych na dziś.

- A inne są? - zaciekał się Przybyszewski.

- Dziennikarz o 12.00 i wizyta u dentysty na 14.00, wyrwanie ósemki - wyjaśnił Grodzki.

- Facet rzeczywiście nie był miłośnikiem sztuki - komendant uważnie przyglądał się fotografii. - Przecież to totalny kicz.

- Etui notesu jest powleczone krokodylą skórą i wysadzone brylantami. Egzemplarz został zrobiony na specjalne zamówienie przez holenderskich jubilerów z Amsterdamu - meldował Kleemann. - Co nie zmienia faktu, że to totalne bezguście. Zresztą, w tym towarzystwie, które bywało u Stayera na rautach, był powszechnie znany jako człowiek niemający za grosz dobrego smaku. Notes to tylko jeden z wyróżniających go elementów. Gdyby zobaczył pan wnętrze willi, dopiero złapałby się za głowę.

- Ale dar do interesów miał - Grodzki niechętny wszedł w rolę adwokata zmarłego. - Może i nie miał zmysłu pro-

jektanta wewnątrz, ale za to miał nosa do elektroniki. System monitoringu w willi jest jednym z najnowocześniejszych na świecie.

- Nagrało się coś ciekawego? - Przybyszewski nachylił się nad biurkiem w oczekiwaniu na dobre wieści.

- Mamy tylko to zdjęcie - Grodzki podał ten sam wydruk, który wcześniej został zaprezentowany policjantowi przesłuchującemu Sokola. - Chłopcy z laboratorium wzięli się za twardy dysk i już powinni mieć dla nas coś ekstra - wyciągnął komórkę, rozmawiał krótko.

Komendant i komisarz spojrzeli na niego w wyczekiwaniu.

W odpowiedzi Grodzki oblizał machinalnie usta.

ROZDZIAŁ 3

- Cześć - rzucił Sokół sucho.

- Czego chcesz? - głos po drugiej stronie słuchawki należał do znajomego funkcjonariusza policji z tej samej komendy, z której dopiero co wyszedł. Nie znali się na tyle dobrze, by określić tę znajomość przyjaźnią, ale na tyle, by prowadzić interesy, które zazwyczaj polegały na tym, iż policjant sprzedawał sukcesy swoje i najbliższych kolegów, zaś Sokół w zamian raz na jakiś czas o pewnych wypadkach zanadto się nie rozpisywał. Czasami zdarzało się, że dziennikarz potrzebował szczególnych informacji, a po ich uzyskaniu jego dług wobec źródła znacznie się powiększał. I to właśnie był ten przypadek.

- Stayera ktoś rozsiekał mieczem - Sokół nie bawił się w zbędny wstęp. - Interesuje mnie, czy wiecie, kto dziś od rana odwiedzał gościa? Trochę czasu, odkąd zaczęliście węszyć w jego willi, już minęło, więc coś powinieneś wiedzieć.

- To śliska sprawa, ciężko cokolwiek wyniuchać... - policjant tradycyjnie udawał, że zdobycie informacji nastęrcza mu ogromnych trudności.
- Rozumie się - jak zwykle dopasowywał się do zasad.
- Dlatego stawka razy dwa.
- Może i być potrójna, nie dam rady.
- Stayer był znany z tego, że każde umówione spotkanie zapisywał w elektronicznym notesiku. Sprawdź mi to.
- Przecież mówiłem, że ciężko będzie.
- Dasz radę - uciął dyskusję. - Za pół godziny zadzwonię.

*

Słyszac rozmowę Sokoła z policjantem, Miranda Oswald uśmiechnęła się szeroko, gratulując sobie dobrego rozegrania kwestii notesu. Mimowolnie rozejrzała się po samochodzie, patrząc na każdego z trzech mężczyzn, którzy towarzyszyli jej od kilku dni.

Luksusowego lexusa prowadził 33-letni Andreas Kaufman, Niemiec wyrzucony z oddziałów specjalnych Bundeswehry za pobicie oficera, za co odsiedział dwa lata w więzieniu o zaostrozonym rygorze. Wyszedł trzy lata temu i właśnie wtedy wzbudził zainteresowanie Mirandy Oswald, tym większe, że był specem od wszelkiej elektroniki, włączając komputery. Rozmawiała z nim krótko, a propozycja, którą mu przedstawiła, była naprawdę dobra. Dlatego facet się nie zastanawiał i od trzech lat regularnie ze sobą współpracowali.

Drugim, niemalże etatowym członkiem grupy, z którym też bardzo lubiła pracować, był Zivko Krkić, starszy od Kaufmana o dwa lata, Serb z niemieckim obywatelstwem, były żołnierz Legii Cudzoziemskiej. Nie był ani wysoki, ani potężnie zbudowany, co często myliło przeciwników, myliło śmiertelnie, bo nie dość, że znakomicie posługiwał się różnymi rodzajami noży, to jeszcze był świetnie wyszkolony

a jego dbałość o kondycję fizyczną imponowała nawet samej szefowej.

Miranda Oswald odwróciła głowę jeszcze mocniej, by rzuć okiem na siedzącego za nią trzeciego mężczyznę, Szweda. Fredrik Lundqvist miał 38 lat i jako były policjant z oddziału antyterrorystycznego, specjalista od broni palnej i materiałów wybuchowych, byłby człowiekiem nieocenionym, gdyby nie jeden feler. Otóż Lundqvist był nadzwyczaj konfliktowy i notorycznie doprowadzał do kłótni, ostatnia nieomal nie zakończyła się strzelaniną.

- Po tej akcji trzeba mu będzie podziękować za współpracę - stwierdziła w myślach. Co prawda wołała pracować w czteroosobowej ekipie, bo dzięki temu zawsze istniała możliwość podziału na dwa mniejsze zespoły, ale z drugiej strony czuła podświadomie, że kolejne starcie wywołane przez Szweda może się skończyć tragicznie.

Wróciła do obserwacji drogi przed samochodem. Andreas był świetnym kierowcą i nawet na obcym terenie radził sobie bez problemów, ale miał tę wadę, że lubił wykorzystywać moc silnika, co na polskich drogach mogło się skończyć albo uszkodzeniem zawieszenia, albo mandatem za przekroczenie prędkości. To ostatnie było o tyle niebezpieczne, że w przypadku nadziania się na maszt z fotoradarem oznaczało wykonanie zdjęcia samochodu i siedzących w nim ludzi, przynajmniej tych na przednich siedzeniach. A czego, jak czego, ale robienia sobie zdjęć Miranda Oswald unikała jak ognia. Dlatego co jakiś czas trzeba było Niemcowi przypomnieć, że nie znajduje się na torze wyścigowym.

*

Sokół wybrał kolejny numer, Patrycja odebrała już po pierwszym dzwonku.

- Próbowałam się do ciebie dodzwonić - zaczęła mocno obrażonym tonem.

- Zostałem zatrzymany przez policję - przerwał jej, nie chcąc, by doszło do kłótni. - Pamiętasz, mówiłem ci, że jestem umówiony z handlarzem antykami.

- Pamiętam - po głosie było słychać, że wciąż nie jest udo-bruchana.

- Za kilka godzin będą o nim mówić w wiadomościach. Ktoś rozplątał mu głowę mieczem.

- A co ty miałeś z tym wspólnego? - zaniepokoiła się.

- Pech chciał, że wpakowałem się do jego mieszkania, gdy już zaczął stygnąć. I akurat gdy miałem dzwonić pod 112, to na miejscu pojawili się policjanci. Trafiłem na komendę, maglowali mnie tam ponad godzinę, w końcu któryś mądrzejszy doszedł do wniosku, że nie miałem nic wspólnego z morderstwem.

- To trafił ci się stresujący dzień.

- I to mocno - przyznał, podchodząc do samochodu. Dobrze, że zaraz po zatrzymaniu poprosił o odprowadzenie warszawy pod komendę, bo teraz musiałby po nią jechać autobusem. Chociaż, szczerze mówiąc, natychmiast po złożeniu tej prośby naszły go wątpliwości, czy aby policjanci nie uszkodzą auta. W końcu żaden z nich pewnie w życiu nie siedział w warszawie. Przed oczami jak żywo stanęła mu zaskoczona twarz policjanta, któremu tłumaczył, że drugi bieg wrzuca się przy prędkości 30 km/h, a trzeci, ostatni z dostępnych, gdy wskazówka szybkościomierza osiągnie liczbę 60. - A co u ciebie? Dzwoniłaś do mnie tyle razy, że to musi być poważna sprawa.

- Tak - wstrzymała głos. - Ale przy twoich perypetiach moje problemy błędną.

- Nie mów tak - uśmiechnął się mimowolnie, oczami wyobraźni widząc, jak marszczy nosek w ten cudownie seksowny sposób. - Powiedz, co się stało.

Patrycja, miejscami nieco chaotycznie, opowiedziała o artykule o nowosolskich esbekach i o tym, że jednym z nich

okazał się być jej wujek, wspomniała też o dosyć nieprzyjemnej rozmowie z mamą. Sokół obiecał przyjechać do Nowej Soli tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Umówili się, że gdy się spotkają, to pomyślą, jak tę sprawę rozwiązać.

*

Miranda Oswald zagryzła dolną wargę, rozmyślając nad tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Usługi jej grupy szybkiego reagowania, jak lubiła o sobie mówić, nie należały do najtańszych na rynku. Ba, za robotę kasowała co najmniej 25-30 procent więcej od konkurencji, ale że gwarantowała przy tym sukces i, co ważniejsze, brak zbędnego rozgłosu, na brak zleceń nie narzekała.

To obecne było jednak wyjątkowe z kilku względów. Zleceniodawca, biznesmen z Niemiec, zaoferował niebotyczne wynagrodzenie w kwocie 3 mln euro. I do tego nie musiała nikogo zabijać, przynajmniej nie główny cel. Zadaniem było skompromitowanie jednego człowieka i odnalezienie pewnego miecza. Nauczona doświadczeniem nie zadawała zleceniodawcy zbędnych pytań, co nie znaczyło, że nie jest ciekawa, o co chodziło z tym mieczem?

Choć intuicja podpowiadała jej, że wykonanie zadania może nie pójść tak łatwo, jakby chciała, to zdecydowała się je przyjąć. Miała dopiero 37 lat, ale już od kilku myślała o przejściu na emeryturę. Odłożyła dużo pieniędzy i mogła pozwolić sobie na życie na dobrym poziomie. Właśnie, dobrym. Ta opcja była do przyjęcia, ale Miranda Oswald zdecydowanie wołałaby móc żyć na poziomie dużo wyższym niż dobry. Z trzech milionów euro, nawet po odjęciu udziału współpracowników i kosztów operacji, jak nic powinny zostać ze dwa miliony. A to już był kapitał, który w zupełności powinien wystarczyć na pokrycie ekstrasfunduszu emerytalnego.

Grodzki ze wszystkich sił starał się nie wyprzedzać komendanta, chociaż gdyby mógł, to do laboratorium pobiegłby sprintem. Kiedy tylko usłyszał, czyja gęba nagrała się w willi Stayera, od razu oczami wyobraźni zobaczył siebie na czołówkach gazet i we wszystkich liczących się programach informacyjnych rozgłośni radiowych i telewizyjnych. Owszem, sprawę prowadził Kleemann, ale Rysiu dobrze wiedział, że komisarz nienawidzi udzielać się medialnie, dlatego istniała duża szansa, że to on, podkomisarz Grodzki, będzie twarzą dochodzenia. Podkomisarz? Przy takiej aferze wkrótce mógłby zostać komisarzem!

Grodzki tak się rozmarzył, że wchodząc na klatkę schodową trącił Przybyszewskiego.

- Rysiu, ty się do kibla spieszysz? - warknął komendant.
- Przepraszam, szefie - usłużnie otworzył drzwi do laboratorium.

W środku, przy stole zastawionym sprzętem elektronicznym czekało już dwóch techników.

- Żeby nie przedłużyć - rzekł jeden z nich, włączając odtwarzanie przygotowanego fragmentu nagrania. - Dokładnie o 9.29 mężczyzna w wieku około trzydziestu lat wszedł do wnętrza budynku - relacjonował technik, chociaż wszyscy zgromadzeni doskonale widzieli, co dzieje się na ekranie komputera. - Po krótkiej rozmowie z Michałem Stayerem doszło do ostrej kłótni, co zarejestrowała kamera umieszczona w przedpokoju łączącym główne wejście z salonem. Potem najwyraźniej obaj panowie przenieśli się do salonu, a po sześciu minutach nasz obiekt opuścił budynek.

- Obiekt, powiadasz - cmoknął Kleemann z niesmakiem.
- Uwielbiam tę waszą urzędową gadkę. To nie jest przesłuchanie na sali sądowej, nie musisz rżnąć eksperta. Nie mo-

żesz normalnie powiedzieć, że na nagraniu jest Marcin Malicki, jeden z najlepszych i najbardziej znanych polskich żużlowców?

- Nagrania z salonu nie ma? - Przybyszewski zignorował uwagę komisarza.

- Nie - odrzekł technik. - Wewnątrz willi kamery były umieszczone tylko przy głównych drzwiach wejściowych, przy drzwiach prowadzących na taras i nad wejściem na balkon oraz jedna ukryta przy sejfie.

- I żadna nic nie nagrała?

- Nic a nic - zapewnił technik. - Od dzisiejszego poranka do prawdopodobnej godziny zgonu nagrało się tylko to, co właśnie widzieliście. Malicki był jedyną osobą, która w tym czasie odwiedziła Stayera.

- Ktoś mógł go załatwić tym mieczem później - nieśmiało zauważył Grodzki.

- O 7.32 Stayer wyniósł dwa worki do śmietnika i wrócił do domu. Od tego czasu w willi pojawiły się dwie osoby: Malicki i ten wasz dziennikarz, ale pismak wszedł do środka co najmniej półtorej godziny po szacowanym czasie zejścia Stayera.

- No to mamy sprawcę - oznajmił Przybyszewski w zamyśleniu, zastanawiając się, jakie reperkusje pociągnie za sobą oskarżenie Malickiego o brutalne morderstwo za pomocą miecza.

- Na to wygląda - rzucił Kleemann, jednak jakoś tak nieprzekonująco, jakby nie był tego pewien.

- Jakies wątpliwości? - spytał Przybyszewski.

- Trzeba sprawdzić jeszcze kilka kwestii - odparł Kleemann.

*

Kiedy Sokół zadzwonił do swojego informatora ponownie, ten był już przygotowany. Relacja była krótka.

- Jedyne zapisy na dziś to twoje spotkanie o 12.00 i wizyta u dentysty o 14.00. Ani wcześniej, ani później nie miał nic zaplanowanego - wycedził policjant, po czym natychmiast się rozłączył.

ROZDZIAŁ 4

Sokół wjechał na obwodnicę łączącą Zieloną Górę z Nową Solą, gdy w jego głowie pojawiła się pewna mocno natrętna myśl. A właściwie, pytanie.

Dlaczego morderca Stayera nie ukradł miecza, którym go zabił? Sokół słyszał o tym, że pozostałe rzeczy z kolekcji kolekcjonera były schowane w dobrze zabezpieczonym sejfie, więc można było przypuszczać, że jeśli Stayer nie zdradził kodu, to morderca nie uzyskał do nich dostępu. Ale za sam miecz wbity w głowę ofiary mógłby dostać... Właśnie, ile mógłby za niego dostać? Kilkaset euro? Kilka tysięcy? A może jeszcze więcej?

Pytania pozostały bez odpowiedzi, co mocno Sokoła rozdrażniło. Bo Sokół bardzo nie lubił takich pytań. Dlatego na widok drogowskiego informującego o zjeździe na Niedoradz podjął błyskawiczną decyzję, zjechał z krajowej „trójki”, zmierzając do Drzonowa.

*

- Pojęcia nie mam, dlaczego Malicki nie zabrał miecza - Grodzki nawet gdyby chciał rozwiązać wątpliwości komisarza, to nie był w stanie, przynajmniej nie na tym etapie śledztwa.

- Rysiu, nie Malicki, tylko morderca - sprostował Kleemann, rozciągając się na krześle i szeroko ziewając. - Nie mamy jeszcze dowodów potwierdzających winę żużlowca - wyjaśnił. - A co do miecza, to mam pomysł. Sprawdźmy, ile on jest wart.

- Jak?

- W pobliżu jest tylko jeden człowiek, który może coś wiedzieć na ten temat - wstał i chwycił za kluczyki do służbowego forda mondeo leżące na biurku.

*

Kiedy Sokół parkował warszawę przed głównym wejściem do Muzeum Wojskowego w Drzonowie, opła corsy, który jechał za nim od Niedoradza, przez Zatonie, Kiełpin, Ochłę i Świdnicę, nie widział już w tylnym lusterku, ale i tak był pewien, że śledzące go auto jest gdzieś w pobliżu.

Postanowiwszy ogonem zająć się później, skierował swoje kroki do muzeum. Dochodziła 17.00 i obiekt był już zamknięty dla zwiedzających, ale dobrze wiedział, że dyrektor placówki - spec nad spece od białej broni - mieszka w tym samym budynku.

- Dzień dobry, panie redaktorze - Bolesław Wojdyła przywitał go nad wyraz wylewnie, ściskając niczym dawno niewidzianego bratanka. - Co pana sprowadza w moje skromne progi?

- Nie takie znowu skromne - odparł Sokół z uśmiechem, wskazując ręką na kolekcję samolotów, czołgów i innego rodzaju pojazdów wojskowych stojących na placu przed budynkiem. W tle, między drzewami, za ogrodzeniem, mignęła granatowa corsa. - Mam sprawę związaną z pewnym mieczem.

- Mieczem? - zainteresował się gospodarz, prowadząc gościa do mieszkania. - Zaczyna się robić ciekawie.

- Ciekawie to się zaraz zrobi na pewno - westchnął, siadając na kanapie, która już na pierwszy rzut oka wyglądała na antyk i przez chwilę się zastanawiał, czy nie wyrządzi jej jakiejś szkody, ale skoro Wojdyła zasiadł na fotelu z kompletu, to widać ewentualne uszkodzenie siedzenia siedzeniem było wkalkulowane w ryzyko. - W sumie policja nie wydała mi zakazu dzielenia się tymi informacjami, więc żadnego prze-

stępstwa nie popełnię, gdy wtajemniczę pana w to, co dziś przed południem wydarzyło się na Jędrzychowie.

- Mówi pan o morderstwie Michała Stayera?

- Już pan o tym wie? - Sokół zdziwił się niepomiernie.

- Kilka minut temu dzwonił do mnie policjant z komendy miejskiej w Zielonej Górze, nazwiska nie pamiętam, zapowiadając swój przyjazd. Chce, żebym zbadał jakiś miecz. Jaki to ma związek z zabójstwem Stayera? Bo skoro przy okazji miecza wspomniał o morderstwie, to chyba jakiś związek ma? - spytał retorycznie.

- Znaleziono go z tym mieczem w głowie - wyjaśnił krótko.

- Ja też chciałem pana spytać o ten miecz. To znaczy o to, jaką może mieć wartość. Ponieważ nie posiadam żadnych zdjęć, chciałem się posiłkować opisem, zapamiętałem parę szczegółów. Ale skoro za chwilę policja tenże miecz panu pokaże, to chyba nie ma sensu, żebym się produkował?

- Chce pan poczekać na moje oględziny narzędzia zbrodni? - Wojdyła wstał, podszedł do barku. - Zaproponowałbym kieliszeczek czegoś mocniejszego, ale wiem, że pan redaktor po alkoholu nie prowadzi. To może sok z czarnej porzeczki? Tegoroczny.

- Jak najbardziej - odparł. - Tak sobie myślę... Policjanci nie muszą chyba wiedzieć, że pytałem pana o miecz?

- Nie widzę takiej potrzeby - napełnił dwie szklanice, też wyglądały na takie co najmniej sprzed kilkudziesięciu lat. Jedną podał Sokołowi.

- Dziękuję - szklanica była ciężka. - Mam taką propozycję: gdy policjant się zjawi, to może udam się do sąsiedniego pokoju? Nie będzie pan musiał dwukrotnie strzepić języka.

W odpowiedzi Wojdyła tylko się uśmiechnął.

*

Kaufman zaparkował auto dwieście metrów od muzeum, naprzeciwko sklepu spożywczego. Miranda Oswald, dla niepoznaki, weszła do środka i zrobiła zakupy: chleb, masło,

kilka pomidorów, kilogram kabanosów i dwie butelki wody mineralnej, jedną gazowaną, drugą bez bąbelków.

- Dlaczego ich nie zdejmujemy? - zapytał Lundqvist, wypychając kawałek kabanosa do ust pełnych chleba.

- Pismak ma znajomości z miejscowymi glinami - wyjaśniła cierpliwie. - Sprytny jest, to sobie poradzi i dotrze do pewnych informacji o wiele szybciej niż my, o ile w ogóle dotarlibyśmy, nikogo przy tym nie zabijając.

- Od kiedy ci to przeszkadza? - rzucił pogardliwie.

- Nigdy nie zabijam dla przyjemności, a tylko z potrzeby sytuacji. Każdy dodatkowy trup to pożywka dla psów - odparła ze spokojem wciąż wypisanym na twarzy. - Może czasami zdarza mi się odczuwać mniejszą lub większą przyjemność, ale i tak pociągam za spust tylko wtedy, gdy jest to konieczne - dodała po chwili zastanowienia.

- Ja tam bym go zabił - nie dał się przekonać.

- Kto powiedział, że na końcu akcji nie wpakujemy mu kulki w łeb? - skontrolowała. - A może kulki mu oszczędzimy? Jak sobie zasłuży, to przygotujemy dla niego coś ekstra - uśmiechnęła się złośliwie. - Idę na rekonesans, w razie czego działajcie sami - poleciła.

*

- Dyrektor chyba ma gości - stwierdził Grodzki, parkując za warszawą.

- Zaraz się przekonamy - odparł Kleemann, wyciągając z bagażnika podłużne zawiniątko.

Zanim podkomisarz zdążył nacisnąć dzwonek przy drzwiach, te się otworzyły. Wojdyła przywitał ich równie wylewnie, co chwilę wcześniej Sokoła, po czym zaprosił do salonu. Kleemann bez zbędnych ceregieli wyłuszczył sprawę, następnie ostrożnie rozwinął materiał. Mimo że miecz był zapakowany w foliową, dziurkowaną torbę, Wojdyła głęboko westchnął, widząc taki okaz.

- Mogę? - szepnął z niemal nabożną czcią.
- Po to go tutaj przywieźliśmy - rzucił Kleemann, uważnie obserwując reakcje muzealnika. - Proszę tylko o ostrożność, to wciąż jest dowód rzeczowy.
- Oczywiście - nawet nie spojrzał na policjanta. - Przydałoby się zrobić kilka zdjęć do dalszych badań. Jest to możliwe?
- Rysiu - rzucił Kleemann lakonicznie.
- Niech pan zrobi miejsce na stole - Grodzki bez słowa wyciągnął z kieszeni parę lateksowych rękawiczek, drugą podał dyrektorowi.

Wojdyle nie trzeba było dwa razy powtarzać. Szybko sprzątnął karafkę i obrus, w tym czasie Grodzki wyciągnął miecz z torebki i położył na blacie. Wojdyła ujął go w dłonie, sycąc się widokiem. Rękojeść była bogato zdobiona, w głowicy lśnił krwistoczerwony rubin. Gdy obrócił miecz, na kamieniu pojawiła się smuga światła przemierzająca się po wypolerowanej powierzchni, do złudzenia przypominająca źrenicę kociego oka. Misternie zdobiony trzon przechodził w nie mniej okazały jelec, którego końce, wyciągnięte w górę i w dół, półokrągłych kształtów, przypominały jakby odwrócone w poziomie kotwice. Na środku jelca, w miejscu, w którym rękojeść stykała się z głownią, iskrzył się wielkich rozmiarów szmaragd, wręcz promieniujący zielenią. Wojdyła odłożył miecz, wyszedł na chwilę z pokoju, następnie wrócił z aparatem fotograficznym i statywem. Ustawił sprzęt i przez kilka minut robił zdjęcia, bezustannie przy tym cmokając. Na koniec kiwnął głową w stronę podkomisarza, ten z powrotem zapakował miecz.

- Po tym krótkim oglądzie mogę powiedzieć tyle: dokładnego wieku tego miecza w tej chwili nie jestem w stanie określić, potrzebuję jeszcze trochę czasu - tłumaczył Wojdyła. - Ale już choćby na podstawie pobieżnej analizy mogę stwierdzić, że może mieć bardzo wysoką wartość.

- A jakaś konkretniejsza wycena niż tylko „wysoka wartość”? - spytał Kleemann.

- Najpierw muszę zapoznać się z dokumentacją fotograficzną i porównać ją z materiałami źródłowymi, poszperać nieco w dokumentach...

- Liczyłem, że powie nam pan coś więcej - jeśli Kleemann próbował ukryć niezadowolenie, to niezbyt się starał.

- To mało? - oburzył się Wojdyła. - W internecie by pan tego nie znalazł.

- Ale mało nas to posunęło do przodu...

- Panie komisarzu, w tej chwili, po takim krótkim badaniu, nie odpowiem nawet na najbardziej podstawowe pytanie - tonował Wojdyła.

- Jakie? - Grodzki uznał, że warto ponownie zaznaczyć swoją obecność.

- Czy to jest oryginał, czy kopia - odpowiedział Wojdyła.

- Miecz może być podróbką? - zaciekał się Kleemann.

- Komu chciałoby się w to bawić?

- Zdziwilibyście się, panowie, jak wielki jest światowy rynek fałszywych antyków - rzekł Wojdyła. - Wykonanie takiej podróbki to koszt rzędu kilku tysięcy złotych, natomiast handlarz z dobrymi kontaktami jest w stanie wyciągnąć za taki towar nawet kilkadziesiąt tysięcy euro.

- Za fałszykat? - Grodzki nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Miecz wygląda na okaz z okresu późnego średniowiecza, jest bardzo bogato zdobiony, moim zdaniem unikat na skalę europejską. A to oznacza, że oryginał na aukcji mógłby pójść nawet za kilkaset tysięcy euro, a może i więcej - tłumaczył dalej Wojdyła. - Natomiast na czarnym rynku jakiś słabo zorientowany kolekcjoner mógłby nabyć fałszywkę, oczywiście o tym nie wiedząc, płacąc kilkadziesiąt tysięcy euro.

- Bez względu na to, czy mamy do czynienia z oryginałem, czy z podróbką, wciąż niewiele wiemy - skonstatował Kleemann.

- Może posunąłby się pan bardziej do przodu z dochodzeniem, gdyby pan porozmawiał z właścicielem - oznajmił Wojdyła.

- Pan wie, kim on jest?!

- Wiem - uśmiechnął się.

- Kto to?

- Pan go zna... - najwyraźniej postanowił podroczyć się z policjantem.

- Niech pan nie wystawia mojej cierpliwości na próbę. Miałem męczący dzień, a przede mną nie mniej męcząca noc.

- Marcin Malicki - szepnął komisarzowi na ucho tak cicho, że Sokół niczego nie dosłyszał.

- Ten Malicki? - odparł szeptem.

- Ten.

- On? - dopytywał się Kleemann. - Jest pan pewien?

- Na sto procent - był wyraźnie podenerwowany. - Ile razy mam powtarzać? Niedawno był u mnie z tym samym mieczem. Chciał znać jego wartość.

- Co mu pan powiedział?

- To samo co panu: że potrzebuję więcej czasu na zrobienie dokładnej wyceny.

- I co on na to?

- Że się spieszy i chce tylko wiedzieć, czy jest coś wart. To mu powiedziałem, że śmiało można szacować, iż jest wart wiele i że to nie jest byle mieczyk z aukcji internetowej. Ale konkretnej ceny mu nie podałem. Ponieważ nie pozwolił wykonać dokumentacji fotograficznej, to nie miałem danych, na podstawie których mógłbym dowiedzieć się czegoś więcej.

- Co to było? - rzekł nagle Grodzki. - Wydawało mi się, czy w tamtym pokoju - wskazał ręką pomieszczenie, w którym ukrył się Sokół - ktoś jest?

- Tam? - Wojdyła się skrzywił. - Tam nikogo nie ma. Musiał się pan przesłyszeć.

- Nie mam problemów z uszami - uciął Grodzki, kierując się w stronę drzwi.

Sokół obejrzał się za siebie, decyzję podjął momentalnie. Starając się zrobić to jak najciszej, otworzył okno, przełożył nogi, chwycił rękoma za ościeżnicę i maksymalnie opuścił nogi w dół, skoczył, przetaczając się na plecy, by zamortyzować upadek. Popędził do samochodu.

Grodzki gwałtownie otworzył drzwi, rozejrzał się po pokoju.

- Przepraszam - stwierdził po dłuższej chwili. - To chyba przez otwarte okno.

- Zostawiłem otwarte? - Wojdyła wparował do pokoju, podszedł do okna, zamknął je z trzaskiem, patrząc jak Sokół wsiada do samochodu. - Wciąż zapominam o tych nieszczęsnych przeciągach. A w moim wieku trzeba o takich rzeczach pamiętać...

- Panie dyrektorze - przerwał mu Kleemann. - Musimy już jechać. Na kiedy mógłby pan pokusić się o przygotowanie szerszych informacji?

- Tak mnie to zainteresowało, że jak tylko zamknę za wami drzwi, siadam do książek i internetu - Wojdyła nawet nie musiał udawać zaangażowania. - Gdy uda mi się ustalić coś ciekawego, od razu dam znać.

- To są numery naszych komórek - Kleemann podał dwie wizytówki. - Proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

*

- Jedziemy - szepnął Kaufman, widząc jak Sokół wsiada do warszawy.

- Czekaj - Miranda Oswald, która dopiero co wróciła do samochodu, złapała go za ramię.

- Nie jedziemy za nim? - zdziwił się kierowca.

- Ford, którym przyjechało tych dwóch gości, to auto policyjne. Po drugiej stronie muzeum stoi opel, też trefny. Zobaczmy, czy ruszą za tym zabytkiem. Jeśli tak, to my zostajemy. Chyba nie chcemy wpakować się glinom pod celowniki? - spytała retorycznie.

Cisza oznaczała, że pozostali członkowie zespołu zgadzają się z nią w stu procentach.

*

Kleemann i Grodzki akurat zbliżali się do furtki, gdy ten drugi zauważył pędzącą corsę.

- Albo mi się zdawało, albo za kierownicą siedział Czerstwy - powiedział niepewnie, otwierając drzwi od strony kierowcy.

- Czerstwy miał śledzić dziennikarza - Kleemann spojrzał na niego przeciągle.

- Myślisz, że... - nie dokończył, widząc, że komisarz sięga po telefon.

- To był Czerstwy - rzekł, wolno cedząc słowa, gdy zakończył rozmowę. - Śledzi Sokoła, który chwilę wcześniej wyszedł z... Zgadnij, skąd wyszedł Sokół?

- Z muzeum - wysyczał, wciskając gaz do dechy.

- Dogoń go i zatrzymaj.

- Kogo? Czerstwego czy dziennikarza?

- A jak ci się wydaje? - Kleemann obdarzył kolegę spojrzeniem, w którym kryła się pełna ocena jego obecnego ilorazu inteligencji.

- Teraz? Na trasie? - pytał dalej, pograżając się w oczach komisarza.

- Natychmiast! - warknął.

*

- Widzisz, Andreas - rzekła Miranda Oswald tonem nauczycielki pouczającej dzieci. - Jak nic wyłudowalibyśmy w samym środku szykującej się właśnie awantury.

- Na to wygląda - odparł Kaufman pojednawczo. - Co robimy?

- Musimy pomyśleć o zmianie auta, bo nasze aż bije po oczach, tym bardziej, że jest na obcych tablicach - odpowiedziała. - Na razie wykorzystamy okazję i pogadamy sobie z dyrektorem. To znaczy ja pogadam - doprecyzowała, sięgając do schowka, skąd wyjęła plik dokumentów. Paszporty i dowody osobiste od razu odłożyła z powrotem, zostawiając legitymacje różnych służb. Chwilę się zastanawiała, po czym wybrała tę z pieczęcią Biura Ochrony Rządu.

*

W momencie, kiedy mondeo dogoniło corsę, Grodzki rozpoczął manewr wyprzedzania. Gdy zrównał się z oplem, Kleemann opuścił boczną szybę i w wymownym geście pomachał kajdankami, po czym palcem wskazał przed siebie.

- Myślisz, że Czerstwy zrozumiał przekaz? - zaniepokoił się Grodzki.

- Myślę, że tak - odburknął chwilę po tym, gdy opel przyspieszył i pomknął przed siebie.

Po niespełna kilometrze zobaczyli stojące na poboczu dwa auta, jedno z włączonym pojedynczym kogutem. Podkomisarz sprawnie zablokował warszawę.

Sokół stał oparty o bagażnik swojego samochodu, podczas gdy Czerstwy udawał, że sprawdza jego dane przez radio.

- Wcale nie jest pan zdziwiony naszą obecnością - rzucił Grodzki.

- Cześć, Miłosz - rzucił Sokół w stronę komisarza.

- Znaie się? - Grodzki zmarszczył brwi tak mocno, że zlały się w jedną. Wpatrywał się przy tym w kolegę, wiedząc, jak ten nie znosi swojego pierwszego imienia. Na co dzień uży-

wał drugiego: Bartosz, ale że i za nim nie przepadał, wszyscy w komendzie wołali na niego po nazwisku. Grodzki czekał więc na nieuchronny wybuch gniewu.

- Cześć, Andrzej - Kleemann wyciągnął rękę na przywitanie. - To jest mój kolega, Ryszard Grodzki - przedstawił podkomisarza.

- Andrzej Sokół - podał rękę przedstawionemu policjantowi, ten odwzajemnił gest, wciąż z wyrazem zaskoczenia wymalowanym na twarzy.

- Dobrze się domyślam, że ta rutynowa kontrola drogowa - Sokół wskazał głową na Czerstwego, który nadal odgrywał zadaną rolę - nie jest znowu taka rutynowa?

- Widzę, że ani trochę nie jesteś zaskoczony naszą obecnością - Kleemann nie odpowiedział na pytanie. Nie musiał.

- Masz rację w połowie. Wizyta twoja i podkomisarza Grodzkiego mnie zaskoczyła, tamtego funkcjonariusza już nie - Sokół pokazał palcem na Czerstwego. - Śledził mnie od komendy tak, że ślepy by się zorientował.

Czerstwy najwyraźniej dosłyszał, bo aż zacisnął usta.

- Czego szukałeś u Wojdyły? - Kleemann zmienił nagle temat.

- Chciałem podpytać o pewien miecz - odrzekł Sokół spokojnie. - A co? Wy też w tej sprawie? - spytał z miną niewiniątka.

- Coś za często wchodzisz dziś organom ścigania w drogę - pogroził mu palcem. - Najpierw Stayer, teraz Wojdyła. Wchodzisz nam w paradę - powtórzył z naciskiem.

- Gwoli ścisłości - skontrował. - Zarówno u Stayera, jak i dyrektora Wojdyły to ja byłem pierwszy. Jeśli więc ktoś komuś wchodzi w drogę, to wy mnie, a nie ja wam.

- Nie przeginaj, Andrzej - westchnął teatralnie. - Nie przeginaj.

- Tak jest, panie władzo - wykonał gest przypominający salutowanie. - Jestem już wolny?

- Oddaj mu papiery - rzekł Kleemann do Czerstwego. Ten z wielką niechęcią wypełnił polecenie.

*

- Co mu powiedziałaś? - spytał Lundqvist, gdy Miranda Oswald wróciła do samochodu.

- Jedziemy - poleciła, a gdy Kaufman ruszył, zaczęła relacjonować rozmowę z Wojdylą. - Bajeczkę o tajnym śledztwie dotyczącym najważniejszych osób w państwie kupił na dzień dobry. Co do miecza, to na razie zbyt wiele nie wie, ale obiecał dać znać, gdy tylko coś ustali - wyjaśniła. - A wtedy być może odwiedzimy go raz jeszcze.

- Jak z autem? - zaniepokoił się Krkić. - Zmieniamy?

- Koniecznie.

Po dotarciu do Zielonej Góry Kaufman podwiózł wszystkich pod blok przy ulicy Wojska Polskiego, jeden z trzech wieżowców. Od kilku dni wynajmowali mieszkanie w środkowym, na ósmym piętrze. Miranda Oswald wołałaby lokal na parterze, w razie potrzeby można by z niego ewakuować się przez okno, ale niestety, nie znaleźli mieszkania spełniającego ten warunek.

Następnie Kaufmann zaparkował w podziemnym parkingu sąsiadującym z wieżowcem. Lepszego miejsca do ukrycia auta nie mogli sobie wymarzyć.

Miranda Oswald wykonała kilka telefonów i po godzinie sprawa była załatwiona. Nierzucający się w oczy srebrny renault megane miał być gotowy nazajutrz wczesnym rankiem.

*

Grodzki odwrócił głowę, otworzył usta, by zadać nurtujące pytanie, ale powstrzymało go wymowne spojrzenie Kleemanna, który, czując zawieszone w powietrzu zdanie, zdążył zerknąć na podkomisarza. Po pięciu minutach jazdy spróbował ponownie, ale i tym razem groźny wzrok kolegi skutecznie go od tego odwiódł.

Kiedy minęły kolejne minuty, podkomisarz już się nie odwracał, tylko zapytał wprost.

- Po tym, jak facet się zachowywał względem ciebie, wnioskuję, że się znacie - zaczął, licząc, że tym otwartym pytaniem rozwiąże Kleemannowi język.

- Dobrze wnioskujeś, Rysiu - odparł krótko, nic więcej nie mówiąc.

Grodzki wiedział, że dyskusja, zanim rozpoczęła się na dobre, została zakończona. I był z tego powodu bardzo niezadowolony. Bo podkomisarz również nie lubił pytań pozostawionych bez odpowiedzi.

*

Kiedy Sokół dotarł do domu, Patrycja już u niego była. Po krótkim, ale namiętym przywitaniu, opowiedział o wizycie w muzeum i spotkaniu z policjantami. Początkowo zaniepokoiła się rozmową ze stróżami prawa, szczególnie w kontekście wcześniejszego zatrzymania, nie mówiąc już o historii sprzed pół roku, na której myśl jeszcze cierpła jej skóra. Kiedy jednak pierwszy szok minął, zaintrygowała ją historia średniowiecznego miecza. Wcale go to nie zdziwiło, wiedział bowiem doskonale, że od zawsze interesowało ją wszystko, co związane z zamkami, rycerzami, murami obronnymi, słowem: ze średniowieczem. Nieraz zresztą, gdy jeździli na weekendy w Karkonosze, Góry Izerskie czy Góry Stołowe i po drodze mijali stare opuszczone przez właścicieli zamczyska, niemal zawsze zatrzymywali się, by je zwiedzić.

Ponieważ o mieczu wiedział niewiele, tyle ile usłyszał zza drzwi, opowieść skończył szybko, mogli więc przejść do tematu o wiele mniej przyjemnego, ale nie mniej istotnego.

- Wiesz cokolwiek więcej od tego, co napisali w tygodniku? - spytał po lekturze gazety.

- Nic a nic - odparła.

- W wolnej chwili mogę wypytać Stefana Jędryszka. Oczywiście nie będę mówił, że chodzi o twoją rodzinę.

- To i tak nic nie da - machnęła zrezygnowana ręką. - Jutro całe miasto będzie wiedziało, że mój wujek był esbekiem. A może niektórzy wiedzieli o tym znacznie wcześniej? Tylko ja, głupia, nie miałam zielonego pojęcia o rodzinnej tajemnicy.

- Rozmawiałś o tym z mamą...

- Tak, ale to niewiele dało - przerwała mu w pół zdania.

- Powiedziała, że nie chce do tego wracać, że to już zamknięty rozdział w naszym życiu i takie tam dyrdymały.

- A ojciec?

- Podobno przed laty obiecał mamie, że oszczędzi mi szczygółów z życia szwagra.

- Kontaktowałeś się z wujkiem? - pytał dalej.

- Żartujesz? - parsknęła nerwowym śmiechem. - Na razie jestem tak zszokowana, że nawet nie wiedziałabym, o co go pytać - wyjaśniła. - „Cześć, wujek, słyszałam, że za komuny byłeś niezłą kanałą, brutalnie przesłuchiwałaś ludzi, niektórzy przez ciebie skończyli na rencie, innym złamałeś życiorysy. Dlaczego nic nie powiedziałaś, gdy zabierałaś mnie na spacer do parku, do cyrku i do wrocławskiego zoo?“, tak miałabym zacząć rozmowę?

- Wiesz, że wcześniej czy później będziesz musiała się z tym zmierzyć.

- Już się z tym mierzę - westchnęła.

- Rozmowa z wujkiem będzie konieczna.

- Wiem - westchnęła raz jeszcze. - Wcześniej jednak chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o nim. I nie mam tu na myśli tego, jakim był bratem, szwagrem i wujkiem, bo ten aspekt jego życia jest mi doskonale znany. Chcę wiedzieć, jakim był człowiekiem poza domem.

- A jeśli się potwierdzi, że faktycznie był z niego kawał... - Sokół zmełł w ustach przekleństwo.

- Co wtedy zrobię? - zapytała, niby Sokoła, ale tak naprawdę chyba samą siebie. - Nie wiem... Może spojrzę mu w oczy i powiem, że jest kanalią?... A może nie będę już chciała na niego patrzeć?... Nie wiem...